Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 30. Stycznia 1881 r. Tom XII.

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 5.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
plac Halicki L. 14.
Godziny redakcyjne od 9—11 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . . kwartalnie 6. m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

DUMCIO MÓJ SĄSIAD.

POWIEŚĆ OBYCZAJOWA

przez

SEWERA.

(Ciąg dalszy)

Ogień został opanowany — osłabł i zalewany wodą przygasł. Pogorzelcom poleciliśmy przyjść do dworów, a sami, odprowadzeni błogosławieństwem i podziękowaniami — jako zwycięzcy wracaliśmy dumni, poważni lecz zadowoleni. Tuż przy samej wiosce czekały na nas w powozie panie.

Adela na widok panny Izy bez kapelusza — z omuskaną dymem buzią, z rozwianemi włosami, załamała ręce. Pani Klementyna zdawała się być zrozpaczoną.

— Mamo! pierwszy raz w życiu byłam w niebezpieczeństwie — słuchałam rozkazów i wypełniałam je sumiennie. Bawiło mnie to i jeszcze samo wspomnienie bawi.

— No, to chwała Bogu! — Zadecydowała pani Klementyna.

— A my — wyrzekłem — mamy sposobność przekonać się, że pannie Izie jako...

— Murzynce — dokończyła Adela.

— Nie jest bardzo brzydko — odpowiedziała mama.

Adela podała pannie Izie swe kieszonkowe lusterko, które jej nigdy nie odstępowało.

— Chciałem powiedzieć — zabrałem głos — jako bohaterce.

— Jako bohaterce — powtórzyła Iza — jeszcze nigdy nie występowałam w tej roli.

— A jednak jest to rola szczytna — rzekła poważnie mama.

— Nie żartujcie państwo, proszę — odparła Iza.

— Uchroniłaś pani od nędzy trzydzieści rodzin — wytrąciłaś im z ręki żebraczy kij — jedną chwilą męztwa i przytomności. Jakże to nazwać...

— Ależ to pan jesteś bohaterem dnia dzisiejszego.

— Bez pomocy pani nicbym nie zrobił.

— Izia przegłosowana — oświadczyła mama. — Jesteś zmęczona i siadaj do powozu.

— Ależ mamo nigdy mniej niż w tej chwili; — zwróciła konia i pogalopowała. Wierzchowiec mój nie czekając rozkazu pomknął również.

— Czy pan na prawdę mówiłeś o bohaterstwie? — spytała jadąc stępą przez lasek.

— Naprawdę.

— A zatem oświadczam panu, że ono nie jest arcy trudne.

— Łatwiejsze niż nieustanne spełnianie swych obowiązków.

— W zupełności podzielam zdanie pańskie. — Te obowiązki są dla mnie zabójcze, bo nudne i niejednostajne.

Nic nie odpowiedziałem i z tego powodu nastała cisza, przerywana odgłosem kopyt koni uderzających o murawę.

— Cóż zrobimy z biednymi pogorzelcami? — pierwsza odezwała się Iza.

— Co zrobimy? — odparłem. — Tu już zaczynają się obowiązki.

— Nie zbyt ciężkie. Ja im dam część mych oszczędności, ojciec napisze kwit na zboże do rządcy i sprawa skończona.

Nic nie odpowiedziałem.

— Widzę, że i obowiązki nie są zbyt ciężkie i nie zbyt długie.

I tym razem nie zdobyłem się na odpowiedź.

— Przyznam się panu, że wszyscy zakochani są niestety niezbyt weseli. Mam nadzieję, że mnie przynajmniej tego rodzaju epidemja oszczędzi.

Zaczęliśmy galopować po błoniu.

— Spieszmy się — mówiła żartobliwie amazonka, czeka nas loża w Covent-Garden — Patti i Nicolini śpiewają! spieszmy się!... Prawda, co za złote sny wśród tego błotka, pól, nagich dzieci i sykania gęsi?.

— »Wsi spokojna, wsi wesoła,
Który głos twej chwale zdoła?« — zadeklamowałem.

— Wsi rozkoszną — ciągnęła dalej z patosem Iza, sadząc z gracją przez niezbyt szeroki rów. Nie wiem dla czego była w wybornym humorze.

Wróciliśmy do dworu — za nami powóz przywiózł panie; — ukazał się uśmiechnięty pan Samuel — drzemka widocznie dobrze mu zrobiła — i zaczęły się opowiadania o pożarze, bohaterstwie panny Izy, a mej dzielności. Był wyborny temat do lekkiej gawędki. — Panna Iza nie miała czasu się przebrać, gdy tymczasem zastawiono na werandzie herbatę — i została. Uwielbiano ją, psuto, pochlebiano jej — szczęśliwi, że dla jedynaczki znaleźli chwilową rozrywkę. W samą porę zjawił się proboszcz Wronowski, aby po herbacie zasiąść z panem i panią domu do wista. Mieliśmy się przejść przy świetle księżyca po ogrodzie— panna Iza ciągle w równym stopniu ożywiona, pobiegła zrzucić amazonkę. Zostawszy z Adelą, przeszliśmy z werandy do szerokiej alei.

— Czy pan naprawdę? — mówiła mi, stając raptownie, masz zamiar starać się o pannę Fruzię?

— Być może, że naprawdę.

— Dotąd jeszcze jestem pod wraże-

niem, żeś pan chciał tylko Izię podraźnić. W takim razie należało wybrać godniejszą jej współzawodniczkę.

— Ależ zaręczam panią — nie myślę ani o współzawodnictwie, ani o draźnieniu panny Izy, ani o korzystaniu z jej chwilowego odosobnienia.

— Toś pan wielkie dziecko.

— Lecz już niem zostanę.

— Niepodobna! bo byłoby to szaleństwem odrzucać tak świetną partję. Izia nie jest piękną, ale nadzwyczaj miłą, dystyngowaną, wykształconą. Wronów wart blisko trzykroć stotysięcy rubli — długu pięćdziesiąt zaledwie. Sprzedałbyś swoją wioskę i kupiłbyś od ojca Wronów. — Pan Samuel wyborny kuchmistrz i wojażer, lecz żaden gospodarz. Pomyśl pan, gdybyś pan wziął w swe ręce Wronów — cobyś z niego zrobił?

Serce zaczęło mi mocno bić!

— Izia — mówiła dalej Francuzka — lubi pana, a to z jej strony bardzo wiele. Zresztą przyzwyczaiła się, a to jeszcze więcej! — Jak się ożenisz i co rok będziesz woził ją za granicę, ręczę, że cię pokocha. Co zaś do rodziców — Izia jest absolutną panią. Zresztą dla pana Samuela do szczęścia jest potrzebny Kozicki — dla pani Klementyny szczęście Izi i zagranica. Pan Samuel z rozkoszą sprzeda panu Wronów...

Na werandzie oblana światłem księżyca ukazała się Iza.

— Gdy tu przyjdzie, pobiegnę po szal — korzystaj z sam na sam i oświadcz się! Odwagi, odwagi! Wierzę, że mnie nie wypędzisz na starość z Wronowa — i nie pozwolisz uczuć łaski. Zresztą może dzieci twoje będę uczyła — przydam się na coś!... Chodźmy.

— Iziu — droga Iziu — jesteśmy tu! — wołała u wyjścia z alei Adela.

— Przy świetle księżyca, w cieniu lipowych drzew — pewnie romantyczne rozmowy — mówiła zbliżając się do nas Izia. — A może pan Ignacy zwierzał się?

— Zgadłaś — zwierzał się i rozpaczał, był czuły i patetyczny. — To mówiąc Adela nieznacznie pociągnęła mnie za połę surduta.

— Aż patetyczny? — powtórzyła Iza. Radabym choć raz w życiu widzieć w salonie patetycznie usposobionego młodzieńca.

— Zobaczysz — rzekła Adela — zmierzając do dworu.

Wyraz »zobaczysz« — widocznie przestraszył Izę i zmięszał ją.

Adela biegła do dworu, podobna wiewiórce. Iza patrzała na nią zamyślona.

— Pani — rzekłem poważnie.

— Jeżeli to ma być początek patetycznego usposobienia, proszę pana odłóż na kiedy indziej! Tyle dziś wrażeń... Mówiąc to szybko zwróciła się ku werandzie — również szybko przebiegła schody i zniknęła w podwojach dworu.

Za chwilę wróciła Adela.

— I cóż, i cóż? — pytała niecierpliwie widząc mnie samego.

— Jestem sam, to dosyć smutne.

— Cóżeś pan powiedział?

— Pani!

— Dalej.

— I nic więcej.

— A cóż Izia?

— Odparła, że ten wyraz jest nadto patetyczny — i pobiegła do dworu.

— Nie trać nadziei — wierz we mnie, idę do Izi, rozmówię się z nią — napiszę — jutro rano sama wyślę ze wsi odpowiedź!

Zajechał Józef — André podał mi kapelusz i po angielsku, nie żegnając się wyjechałem.

Jadąc wśród ciszy nocnej mimowolnie porównywałem Izię z Fruzią — papę Samuela, z papą Trybulskim — panią Klementynę z Piekarską z domu — a najwięcej Wronów z moją Krzykawką, Rzepecką, Józefem, Kasią, której się zachciewa marcypanów, karbowym, Walkiem, ekonomem... Wszystko to wydało mi się okropne w zestawieniu z tą ciszą i spokojem zamożnego dworu. — We własnym mym domu teroryzowali mnie po prostu, nudzili, zabijali drobnostkami, wyzyskując moją łagodność i serdeczność.

We Wronowie prostota, elegancja — służba umiejąca milczeć — w oficynach poważny, dobrze wychowany, rozumny rządca. Co to za rozkosz, co to za rozkosz! Lecz chcąc sobie tak urządzić życie, trzeba Wronowa! — Izia nie jest ładną, lecz dystyngowaną, dowcipną — rozumną! I gdyby nie to ziewanie... Mimowolny dreszcz przejął mnie na samo wspomnienie.

Zajechałem przed dom i naturalnie ledwiem się dostukał, aby mi otworzono. Chłopak spał w kredensie jak zabity. Nareszcie Rzepecka ulitowała się nademną — a otwierając mi w negliżu drzwi mruczała:

— Gdyby to nie z Wronowa — nie otwierałabym tak prędko — a toż za godzinę świt.

I tak z łaski wpuszczony do własnego domu — zasnąłem.

III.

Nazajutrz była niedziela i z tego powodu atmosfera nieco łagodniejsza zapanowała na mym dworze, a raczej w kuchni i izbie czeladnej. Rzepecka zaraz rano zwierzyła się przed Józefem z zamiarem pojechania do kościoła Próchnowskiego — domyślałem się, aby upokorzyć Kwaczyńską i zemścić się na niej za domniemywane uroki.

Zacząłem się bać nowych plotek, nowych historyj i awantur — i kazałem Józefowi zawołać Rzepecką do swego pokoju.

Jako przystoi uczciwej wdowie, w czepku ubranym w fioletowe wstążki i żółte narcyzy, stanęła przedemną — wysoka i koścista moja żywicielka, dumna z zajmowanej pozycyj, a przekonana o swej potędze.

— Po cóż to znowu pani jedzie do Próchnowa? — spytałem chłodno.

— A nie wolno mi to? — odparła. — Człowiek naharuje się przez cały tydzień, że nogi pod nim dygocą, a wielmożny pan żałuje jeszcze tych mizernych szkap. Oj bardzo się i zlecą! Abo im tam ekonom nie da siana?

— Ekonom — powtórzyłem zdziwiony.

— A to przecież mój kum.

— I do niego pani jedziesz?

— A może do Kwaczyńskiej? Będzie mnie ona czekała do sądnego dnia.

— Boję się żebyś pani nie naplotła jakich niedorzeczności.

— A cóż to za głupią mnie wielmożny pan trzyma czy co?

— Broń Boże! — odparłem z uśmiechem.

— Jeżeli mam co mówić, to powiem tylko tyle, że nasz pan żeni się z jaśnie panną Wronowską.

— I trzaśniesz pani największe głupstwo.

— A to jakie?

— Bom się wczoraj oświadczył i dostałem arbuza.

— Ar-bu-za — powtórzyła łamiąc ręce, a ja nawet na obiad dla pana nie wydałam! Arbuza — a co oni sobie myślą!... Teraz pan pewno do Trybulszczanki wróci — i Kwaczyńska będzie tryumfowała! (zalała się łzami) ale niedoczekanie jej... Cóż pan teraz będzie jadł?... A to skaranie boskie z temi marmozelami — a prosili, a jeździli, a ciągnęli! No i że w pałacu siedzi — to myśli, że się doczeka księcia... Zeby nie to, że mam czepek na głowie, nie pojechałabym. I cóż pan teraz będzie robił?

— Trzeba milczeć i czekać — odrzekłem. A jeżeli ekonomstwo Próchnowscy będą panią wybadywali — nie dajże się pani w pole wyprowadzić.

Rzepecka wybiegła z pokoju do kuchni, zbuzowała po drodze parobka, dziewkę poczęstowała pięścią w kark i nareszcie wolniej odetchnęła. Zabezpieczony co do plotek Rzepeckiej, czekałem niecierpliwie na list Adeli.

Nie przychodził — pojechałem do kościoła jak zwykle Wronowskiego — oczekując na cmentarzu przybycia pań.

Powóz zaprzężony w parę rosłych koni cicho zajechał. André zeskoczył, otworzył drzwiczki, a ja podając rękę każdej z pań przy wysiadaniu, witałem się wesoło i serdecznie.

— Jakże się ma bohaterka? — spytałem.

— To już tak dawno było — odparła Iza — że zapomniałam o swej roli.

Przy uściśnieniu ręki Adeli, uczułem karteczkę papieru na swej dłoni.

Było już późno — panie wsunęły się do kościoła, ja zaś pobiegłem na plebanję — w pokoju proboszcza otworzyłem kartkę drżącemi rękami czytając:

»Cierpliwości — nadzieja — ojciec jest za panem, matka przeciw. — Iza się waha, lecz lubi pana — a — ja pracuję. W razie gdy się oświadczysz, każą panu czekać. A to nic nie jest, będziesz pan czekał i doczekasz się, zaręczam.

Oddana Adela.

Smutno mi się zrobiło na sercu. »Będziesz czekał i doczekasz się.« To znaczyło doczekasz się, ale dopiero wtedy, jeżeli się kto lepszy nie trafi... Czułem się nieco upokorzony, zawstydzony i zły. —

Wszedłem do kościoła i po skończonem nabożeństwie wróciłem do domu.

— A gdybym się też naprawdę zakochał! — zawołałem. Czyż ci ludzie tego nie przypuszczali, że młody człowiek widując często młodą, wykształconą i dystyngowaną pannę, może się w niej do szaleństwa rozkochać? Mimo to zapraszali mnie, jedynie abym ich nudy rozrywał — egoiści. Stanęły mi na myśli lekkie, ukradkowe, a mimo to wyraźne ziewania panny Izy i dreszcz oburzenia miłości własnej przechodził mnie.

— Izo, gdybym wyrzucił klęcząc u twych stóp potok, albo lepiej lawinę wyznania miłości, wykradzioną choćby z Walter Scotta lub Lamartina:

— Dosyć tych deklamacyj — odpowiedziałabyś — słyszałam je i czytałam już tyle razy — a nareszcie zobaczyłbym ziewnięcie, gdy serce me pękałoby z bolu.

— A jednak — myślałem, Wronów jest Wronowem, pałac, jak mówi Rzepecka, cisza — gospodarstwo duże choć zaniedbane — grunta pierwszej klasy! Byłoby pole gdzie się rozwinąć. Namiętność gospodarska opanowała mną.

Każą mi czekać!? — Bądźcie spokojni, oszczędzę wam tego przykrego wyznania.

(Ciąg dalszy nastąpi).

REPUBLIKA I MYŚLICIELE.

przez

Dr. M. NORDAUA.

Dziwna rzecz, podczas gdy wszystkie młodsze talenta Francji występują świadomie lub mimowolnie w charakterze apostołów republiki, ludzie pierwszorzędni, poeci i myśliciele przeszłości zachowują się względem niej obojętnie, jeśli nie wrogo, jakkolwiek obecna forma rządu we Francji była niegdyś dla nich przedmiotem najgorętszych marzeń.

Zanim przystąpię do wyjaśnienia tego dziwnego zjawiska, przedstawię naprzód pokrótce faktyczną jego stronę.

Przyjrzyjmy się naprzód pierwszorzędnym belletrystom poprzedniej generacji. Nie znajdujemy między nimi prawie ani jednego republikanina, natomiast nie brak tu ludzi bezbarwnych, a nawet jeden z nich jest stanowczym przeciwnikiem rzeczypospolitej. Aleksander Dumas ani piórem, ani czynem nie zdradził wyraźnie politycznych swych opinij, lecz osobiste jego i dziennikarskie stosunki znamionują w nim człowieka należącego bardziej do reakcyjnego niż postępowego obozu.

Emil Augier, cięty przeciwnik zepsucia wyższych klas, twórca „Syna Giboyera,“ owej bezmiłosiernej satyry barwnych i przewrotnych polityków i literatów, autor komedji „Fourchambault,“ tej gorącej obrony małżeństw z miłości, poeta nieustraszonych mów przeciw nadużyciom wyższego towarzystwa, Emil Augier, powiadam, przedstawia się dzięki swym utworom sympatycznie dla przyjaciół społecznych reform; a przecież w Paryżu wiadomo, że Augier osobiście jest zachowawcą, jeśli nie zacofańcem. Wiktoryn Sardou jest zaciekłym przeciwnikiem obecnych stosunków, a nienawiść swą przeciw republice objawia odważnie przy każdej sposobności. Tuż po upadku cesarstwa pomścił się na rewolucji wrześniowej „Rabagasem,“ owym dramatycznym pamfletem, wymierzonym przeciw Gambecie. Nie poprzestaje on na walce z demokracją we własnym kraju i niby średniowieczny błędny rycerz ściga swoją nieprzyjaciółkę i pisze „Wuja Sama,“ pragnąc za oceanem ośmieszyć demokratyczne obyczaje amerykańskiej repnbliki. Jednakże wycieczki p. Sardou nie zaszkodziły republice, lecz jemu samemu. Bardzo zręcznie i delikatnie zarazem, znany estetyk, Karol Blanc, przedstawił tę sprawę dnia 23. maja 1878 r. z okazji wstąpienia p. Sardou do akademji francuskiej. Posiedzenie to było bardzo zajmujące. Blanc, któremu przypadła rola wygłoszenia mowy powitalnej na cześć p. Sardou, jest zarówno zdecydowanym jak wybornym estetykiem. Gdy 1876 r. wstąpił do akademji Blanc, pewien reakcyjny kozioł, zamiast wedle zwyczaju chwalić, uderzył na niego w sposób bezprzykładnie brutalny z powodu republikańskich jego przekonań. Podczas przyjęcia p. Sardou rzeczy miały się wprost przeciwnie. Republikanin Blanc winien był powitać reakcyjnego Sardou, miał więc sposobność pomścić swoją krzywdę. Wszelako chrzesty ojciec Wiktoryna Sardou poprzestał na następującem oświadczeniu: „Widok pańskich komedyj mimowoli przypominał mi starożytną scenę, nie ze względu na podobieństwo, lecz przeciwnie z powodu głębokich różnic, jakie dzielą stulecia i obyczaje. Niegdyś poeta komiczny, który się uważał za sługę moralności, porwawszy za kołnierz każdą osobę, którą schwycił na gorącym występku lub śmieszności, stawiał przed teatralnym sądem Osoby te drżały, mięszały się i przerażały, gdyż słuchacze poznawali tożsamość wad i karykatury, a lud ateński, który atycyzmowi nadał swe miano, przyklaskiwał tym krwawym, często nawet bezwstydnym satyrom, nie przeczuwając, że oklaski te znieważały Eurypidesa, lub Sokratesa obrażały... Na szczęście, od owego czasu winna była komedja zająć stanowisko wyższe, zkąd zamiast obserwować indywidua, brała typowe figury, które rozweselały wszystkich, nie obrażając ludzi pojedyńczych. Francja, która słuszniej pod tym względem może rościć pretensje do atycyzmu niż sama Attyka współczesna Arystotelesowi, nie znosi na scenie nazbyt przejrzystych aluzyj. Francja dozwala, aby Tartuffe lub Harpagon przeistoczyli się w rzeczowniki, lecz nie znosi, aby za zmyślonem nazwiskiem ukrywano istotne nazwiska osób. Z tego powodu mógłbym z panem zawiązać ciężki spór, lub też przynajmniej uczynić panu żywe wymówki, a byłby to fakt nie bezprzykładny; po pewnem zastanowieniu jednak doszedłem do przekonania, że lepiej jest milczeć... pozwól pan wszakże sobie powiedzieć, że dziwne pańskie wycieczki w dziedzinę polityki nie zawsze były fortunnemi i nie przysporzyły panu ani talentu ani sławy. Niejednokrotnie ostrza pańskiego dowcipu tępiły się na polityce. Rylec pański zwykle tak silny i delikatny, kruszył się, usiłując kreślić profile społeczeństwa, do którego pan nie należysz („Rabagas“ i „Wuj Sam“).

Blanc w swej pochwalnej mowie, wygłoszonej na rzecz p. Sardou, nie mógł dokładniej wyrazić swego zdania o politycznych jego komedjach. W każdym razie Sardou nie jest bynajmniej zastraszających rozmiarów przeciwnikiem republiki. Komedje jego odznaczają się niezwykłą techniczną zręcznością, nie mającą zresztą wiele wspólnego ani z prawdą, ani z poezją; to też trwałość ich jest nader wątpliwa. Sława jego należy do rzędu tych, które przez pół wieku rozbrzmiewają w tysiącu odgłosach, poczem zaś milkną bez śladu. Szczypta musującego proszku wypełnia, a nawet przepełnia szklankę szumem i pianą; wszystko to trwa pół godziny, a potem cóż? Przekonywamy się później, że cała owa burza w szklance wody była raczej nagromadzeniem powietrznych baniek. To też zdaje się nam, że sława Wiktoryna Sardou była tylko reputacją musujących proszków.

Bardziej zastanawiającą od obojętności politycznej lub też jawnej nienawiści wspomnianych belletrystów, jest postawa filozofów i uczonych, którzy niegdyś byli silnymi filarami liberalnej myśli we Francji. następnie jednak zobojętnieli, a nawet przeszli do reakcyjnego obozu. St. René Taillandier na dwa lata przed śmiercią postanowił zażegnać swe liberalne grzechy wygłoszeniem odczytu znieważającego pamięć Dantona i Robespiera, który to odczyt zresztą wolnomyślna młodzież Sorbonny wygwizdała. Edward Laboulaye, ów stary demokrata, który zrzekł się tytułu wicehrabiego, a świetnemi swemi satyrami *Prince Caniche* i *Paris en Amerique* zapewnił sobie zaszczytne miejsce między wolnomyślnymi przeciwnikami napoleońskich rządów, ostatecznie uzyskał przebaczenie od prawomyślnych, przyczyniwszy się, jakkolwiek pod pozorem swobody nauczania, do założenia uniwersytetów wyznaniowych we Francji, od czterech zaś lat głosuje zawsze z prawicą barwy Brogliego. J. J. Weiss, w sześćdziesiątym roku życia swego, przyjaciel i towarzysz Rocheforta, Pyata, Ranca, groźny, śmiertelny nieprzyjaciel cesarstwa, ozdoba niegdyś Café de Madrid, jest obecnie filarem reakcji i był może tajnym współpracownikiem niedoszłego zamachu stanu z 1877 r. Littré, ów potężny i czysty umysł, człowiek fenomenalnie uczony, skromny i pracowity, który mimo ośmdziesięciu lat swego wieku i mimo ciężkich chronicznych chorób pracuje więcej od niejednego młodzieńca i którego myśli dziś jeszcze odznaczają się głębokością, jasnością i doniosłością, spadkobierca doktryny Comta, pozytywistycznej szkoły we Francji, człowiek niezależny, nie cofający się przed najradykalniejszą doktryną, człowiek ten przed niedawnym czasem w swojej *Philosophie Positiviste* ogłosił rozprawy, które wrogowie republiki jako broni przeciw niej użyli. Henryk Taine, genialny autor „Dziejów angielskiej literatury“, które uczyniły przewrot w dziejopisarstwie umysłowego życia narodów, liberalny Taine pisze kilkotomowe dzieło „O początkach Francji współczesnej,“ pełne ciosów wymierzonych przeciw przywódzcom ludowych ruchów, w którem z prawdziwym wandalizmem uderza na demokratycznych przedstawicieli owych czasów, redukuje ich heroiczne czyny, wszelkim stosowanym przez nich środkom nadaje albo błahe, albo występne znaczenie, jednem słowem jest tem dla rewolucji, czem było dla Napoleona dziełko historyczne wesołego ojca Loriquet, który epokę pierwszego cesarstwa traktuje jako część rządów Ludwika XVIII, a wielkiego Cesarza jako generała armji J. K. Mo-

ści. Ernest Renan nakoniec, który pozyskał sławę człowieka wolnomyślnego „Życiem Jezusa“, zaś różnemi pismami opinię niezmiennego republikanina, którego liberalne stronnictwo zawsze uważało jako jednego ze swych przedstawicieli, Renan w jesieni 1877 r. ogłosił antidemokratycznego „Kalibana,“ który wyrobił mu godne miejsce obok Sardou.

Renan swym „Kalibanem“ i jego dalszym ciągiem bezwarunkowo postanowił narazić sobie republikanów.

Rozmaite przyczyny wpłynęły na tych utalentowanych ludzi, na ich polityczną obojętność lub przeniewierstwa. U jednego z nich nienawiść do istniejącego porządku rzeczy powstała dzięki obrażonej miłości własnej i drobnym samolubnym słabostkom. Obecna epoka nie jest właściwie literacką, ale polityczną; pisarze wskutek tego zajmują w narodowem życiu miejsce skromne, zaś praktyczni mężowie stanu znaczne stanowiska.

Kraj nazbyt jest zajęty swemi materjalnemi interesami, rozwojem swych młodych instytucyj, obroną przeciw reakcyjnym pokusom, aby mógł goręcej się zająć kwestjami estetycznemi. Naród zajęty wielkiemi sprawami oświaty, reformą podatków, opieką robotników w wypadkach kalectwa lub starości, nie ma czasu roznamiętniać się do powieści lub komedji. To usposobienie publiczne spycha naturalnie pisarza na drugi plan, a tego właśnie znieść on obojętnie nie może.

Za cesarstwa literaci byli przedmiotem największego publicznego interesu. Naród, nad którym ciężyła kuratela i któremu nie dozwolono zajmować się swemi najpoważniejszemi sprawami, wypełniał swą przymusową bezczynność polityczną życiem literackiem Pierwsza reprezentacja sztuki była wypadkiem niezwykłej doniosłości. Wystawienie grupy Carpeaux'a na fasadzie opery przybrało rozmiary palącej kwestji bieżącej; dzienniki zamieszczały buletyn o zajęciach i najdrobniejszych sprawach dotyczących wszystkich pisarzy i artystów. Paryż przedewszystkiem zajmował się kuchnią p. Sardou, kochankami Dumasa i osobistemi długami Rocheforta. Epoka ta minęła na szczęście narodu. Rozkapryszeni bohaterowie salonów nie mogą obecnie wybaczyć republice, że wyznaczyła im miejsce odpowiednie i zdaje się, że niektóre objawy niechęci Zoli do republiki i jej politycznych wielkości, tym samym osobistym przyczynom przypisać należy.

Inna rzecz z tymi, którzy odpokutować zapragnęli radykalną młodość pełnym skruchy konserwatyzmem. Alfons Karr jeszcze za dobrych swoich czasów bardzo trafnie i głęboko wyraził się o politycznych stronnictwach swej ojczyzny: „Czerwoni są białymi w drodze; biali zaś są to czerwoni, którzy stanęli już u celu.“ Zdanie to, mimo swego epigramatycznego lakonizmu jest pełne prawdy. Wielu bowiem ambitnych ludzi posługuje się liberalnemi zasadami aby dojść do celów swych przy pomocy łatwowiernego i szybko zapalającego się tłumu. Ludzie doszedłszy nareszcie do steru władzy, stają się zacofanymi, co zresztą nie jest wyłącznym przywilejem polityków. Za przykładem tym bowiem poszli literaci i uczeni, przekonawszy się, że droga ta wygodniejsza i pewniejsza. Rozpoczynamy tedy karjerę jako radykalni ateusze szydzący z nieba i piekła. Młodzież, która zawsze i wszędzie posiada radykalne instynkta, klaszcze jak szalona. Masy, które we Francji stanowczo są wolnomyślne, wybuchają zachwytem i podziwem, zaś sfery wyższe, czujące przeciw temu kierunkowi wstręt, zmuszone są dzięki ogólnej wrzawie niechętnie przyjąć do wiadomości fakt pojawienia się nowego potomka Woltera, którego nazwisko głos narodu po wszem świecie roznosi. Tak więc literacki bohater cel swój osiągnął, cały świat zna go, wolnomyślni kochają, zacofańcy obawiają się go i nienawidzą. Nareszcie nadchodzi chwila, w której bohater nasz poczyna myśleć o swem pojednaniu z mieszkańcami przedmieścia St. Germain, aby w miejsce dzikich sympatyj tłumu pozyskać delikatniejsze hołdy możnych tego świata. Wyprzysiągłszy się więc swej przeszłości, przyobleka się on z wdziękiem w inną skórę. Szumna popularność sal odczytowych, kawiarń i warstatów idzie do licha, lecz natomiast otwierają się przed naszym bohatem podwoje pachnących jedwabnych buduarów, starzy i młodzi legitymiści pieszczą się z nim, arcybiskupi i książęta klepią go po ramieniu; skruszony zaś grzesznik milszy jest Panu od dziewięćdziesięciu sprawiedliwych, to też staje się on bywalcem najprzedniejszych towarzystw, które dość lekceważąco się obchodzą ze swymi zgrzybiałymi, wysłużonymi najemnikami reakcji *à la Veuillot*.

Do lepszego gatunku pisarzy należą szlachetni marzyciele, którzy w obecnej republice poznać nie mogą jasnych ideałów swego życia i czują bolesne rozczarowanie, porównawszy obrazy swych marzeń z prozaiczną rzeczywistością. Lecz i ci renegaci jakkolwiek sympatyczni i mniej winni, zasługują na nazwę niesprawiedliwych. Zapewne, spotykamy się nieraz w polityce z niejasnemi pobudkami i charakterami wątpliwej czystości, lecz nie wszyscy dzisiejsi rebublikanie są Katonami. Tu i ówdzie zetknąć się można z nizkiemi ambicjami, z samolubstwem pozbawionem zasad, z ludźmi, którzy w demokracji widzą jedynie środek do wyższej karjery, a republiki używają do tego, aby przy jej pomocy zająć miejsce za stołem władzy i godności. Nie jestże jednak niesprawiedliwością i niedorzecznością czynić republikę odpowiedzialną za słabostki kilku republikanów? Przedwczesnem byłoby potępiać świątynię, której budowy jeszcze nie dokończono, potępiać dla tego tylko, że niektórych mularzy czuć czosnkiem, że ordynarnie się wyrażają i ręce mają zbrudzone. Cierpliwości, świątynia wkrótce zostanie wykończoną i oczyszczoną, a wtedy marmury jej przedstawią się nam w całej swe jasności i blasku a widok zabrudzonych mularzy i niepotrzebne gruzy nie będą razić naszego wzroku,

---

TOAST

wniesiony podczas obchodu we Lwowie ośmnasto-letniej rocznicy powstania 1863 r.

Bracia! rok ośmnasty dzwoni,
Gdyśmy o tej porze
Znak Orła i znak Pogoni
Wznieśli w imię Boże.

Polska, matka nasza święta,
Bita, z mieczem w łonie,
Do nas, dzieci, skute w pęta
Wyciągała dłonie...

I szliśmy, by matkę, z wroga
Krwawej wydrzeć ręki,
I szliśmy — gdzie nasza droga:
Na śmierć i na męki.

Stało się. Przemogła siła —
Zwyciężył morderca.
Lecz przelana krew — stopiła
W jeden spiż, nam serca.

Toż dziś, święcąc w owej chwili
Zwycięztwa zawiązek,
Wnoszę cześć tych, co spełnili
Święty obowiązek;

Tych, których wrogi wygnały
Płakać — w świat daleki,
I tych, co na polu chwały
Zawarli powieki.

M. Rodoć.

KRONIKA TYGODNIOWA.

W rocznicę powstania 1863 roku odbyło się we Lwowie, jak corocznie, nabożeństwo żałobne za dusze poległych braci, a wieczorem przyjacielskie zebranie uczestników tej ostatniej walki narodu za wolność. Z okazji tej rocznicy Dziennik Poznański wydrukował artykuł wstępny, rodzaj odezwy do Moskali, napisany w tak racjonalny i godny zarazem sposób, że przykro nam, iż dla braku miejsca nie możemy go w całości powtórzyć. Dziennik Poznański, możemy powiedzieć, że wyjął nam wszystkim Polakom z ust słowa oburzenia przeciw niepraktykowanej w cywilizowanym świecie tyranji i znęcaniu się nad ofiarami tego powstania, które Moskalom udało się pochwycić w ręce. Ośmnaście lat niezbłaganej, bezlitośnej i nieludzkiej zemsty nad ludźmi, którzy bądź co bądź walczyli w sprawie dla swego narodu świętej, w imię miłości ojczyzny, w imię wolności — jest czynem poprostu barbarzyńskim, jakiego przykładu niema w nowoczesnej historji. Naród francuzki uwolnił komunardów, Stany Zjednoczone oddawna zapomniały win południowcom za bunt przeciw jedności ojczyzny, bunt kosztujący tyle krwi i ofiar, a ten car samowładny, ten oswobodziciel milionów, jakim okrzyknęła go prasa i polityka europejska, nie może się zdobyć na tyle poczucia ludzkiego, aby zwolnić z katorgi i z wygnania tysiące najzacniejszych i najszlachetniejszych ludzi, już dziś znękanych, i złamanych, aby choć kości swoje złożyć mogli w ojczystej ziemi. I naród moskiewski, ten naród uważający się cywilizowanym i przeznaczonym do oswobodzenia Wschodu z pod mniemanego jarzma tureckiego, może patrzeć i wiedzieć o tem barbaryźmie rządu, i serce mu nie zadrży ze wstydu, twarz nie spłonie rumieńcem. I ci ludzie prawią nam i piszą o pogodzeniu się, ofiarują budowę złotych mostów, marzą o konstytucji dla swego narodu!. Tekińcami i Kirgizami a nie chrześcianami, Słowianami są oni. Tylko pięćdziesiąt ośm tysięcy nowych ofiar zesłano w ten sam sposób administracyjny w tym roku na Sybir! Dobrze, niech ich zsyłają dalej,

niech krańcowy nihilizm nurtuje wciąż społeczeństwo, w którem ten nihilizm jest jeszcze luminarzem uczuć ludzkich!... Jenerał Albedyński był w Krakowie i widział czem Polacy być mogą, gdy im sprawiedliwość jest wymierzona, powiózł więc do Petersburga projekta niejakich ulg, i wiecie czytelnicy co dotąd uzyskał? Oto pozwolenie dla Dyrekcji wyścigów konnych na urządzanie przez lat sześć wystaw corocznych koni, bydła, trzody... a mybyśmy dodali i Moskali... Tak jest, telegrafował w tych dniach do Warszawy o owych łaskach monarchy oswobodziciela, dobroczyńcy ludów!... Czy to nie ironia?

Lecz w ubiegłym tygodniu, nie dość nam było gorzkich wspomnień i gorszych jeszcze rozczarowań z łaski moskiewskiej. Kraj nasz doświadczył nowego nieszczęścia, straciwszy dwóch najwybitniejszych mężów politycznych nietylko w Galicji, lecz i w całej Austrji. Zmarli nagle prawie i jednego dnia pogrzebani zostali posłowie Krzeczunowicz i Rydzowski. O każdym z nich możnaby toż samo powiedzieć, co Syrokomla o lirniku wioskowym:

Skonał. grając na lirze!

Tak jest, jeden i drugi skonał pracując dla dobra kraju; Krzeczunowicz przy pisaniu memorjału w sprawie podatku gruntowego, Rydzowski jako sprawozdawca Izby o prawie przeciw lichwie. Cześć im zatem i wieczna pamięć wdzięcznego narodu. Służyli mu z całem sercem i oddaniem się jako ludzie sumiennie pojmujący swe obowiązki — naród opłakuje ich stratę, lecz zarazem dumny jest nimi „Niech więc będzie im lekką ta nasza ziemia!

Jednakże i pod innym względem ubytek ich sprawił nie małą sensację w kołach zajmujących się sprawami krajowemi, a mianowicie: kto ich godnie zastąpi? Mamy dość ludzi — to prawda, mamy tylu innych posłów, lecz jakże mało między nimi dokładnie obeznanych ze sprawami kraju, które podjęli się reprezentować. Zdaje nam się, że czas byłby już zaprzestać zabawy w posłowanie, a zrozumieć, że tego rodzaju misja potrzebuje specjalnego wykształcenia i odpowiedniego przygotowania w uprzedniej praktyce w biórach administracji rządowej i autonomicznej. Tak zwany zdrowy rozum i praktyka w gospodarstwie rolnem, połączona z dyletancką pewnością siebie, już nie wystarczają. Trzeba prócz tego przysiedzieć fałdów i uczyć się i studjować urządzenia krajowe i państwowe — trzeba trochę więcej mieć sumienia i nie porywać się do pełnienia funkcji, przy których siły zwyczajne nie wystarczą. Uwaga ta może być na czasie tak dla pretendentów na posłów, jak i dla wyborców, gdy przyjdą na stół uzupełniające wybory.

Na ostatku, musimy podnieść tu skromną zasługę naszą kronikarską, że pierwsi z całej prasy Galicyjskiej zwróciliśmy uwagę na osobistość szanownego prezydenta krakowskiego, na jego zasługi, i zdolność zajęcia krzesła marszałkowskiego w Galicji. Życzenia nasze i nadzieje ziściły się — pan Zyblikiewicz został nominowany najwyższym urzędnikiem autonomicznym i przewodniczącym sejmu. Wybór ten monarchy ma dla naszego kraju bardzo ważne znaczenie, i witamy go z całem uznaniem i szczerą wdzięcznością, raz dlatego, że wobec innych stawianych kandydatów dawał najlepsze rękojmie restauracji nadwerężonych stosunków ekonomicznych u nas, powtóre że pan Zyblikiewicz reprezentując swoją osobą idee postępowe, mimo braku historycznych antecedencji, li tylko osobistą zasługą i wyższemi zdolnościami, potrafił wybić się na to stanowisko, które najwyższa władza zdecydowała się oddać w jego ręce. Być moze, iż w tych właśnie utytułowanych sferach nominacja jego wywoła pewien niesmak, lecz za to kraj cały stanie przy nim jak jeden mąż i da mu w każdym razie szczere poparcie. Zaiste przyszłość dla nowego marszałka pod taką przepowiednią piękna i zaszczytna, a nam coś szepcze, że p. Zyblikiewicz nie zawiedzie tej sympatji i zaufania, z jakiemi wita go na tem nowem stanowisku cała patrjotyczna, i rozumna inteligencja polska!

* * *

Szanownych Prenumeratorów „Tygodnia“, którzy złożyli przedpłatę na zeszłoroczne premium „Lilla Weneda“ powiadamiamy, że artysta, celem wybitniejszego uwydatnienia grup, przedstawiających zbiorowe sceny dramatu, musiał przerwać daleko już posuniętą pracę i rozpocząć ją na nowo, w zwiększonym znacznie formacie. Z tej przyczyny wykończenie płaskorzeźby ulegnie opóźnieniu, na którem wszakże Szanowni Prenumeratorowie nie stracą, owszem, otrzymają dzieło sztuki tem piękniejsze i doskonalsze.

ALBUM DLA ZAGRZEBIA.

Lwowskie „Koło literackie“ rozpoczęło rok nowy świetnie i poczciwie, wydaniem książki zbiorowej, przeznaczonej na korzyść nieszczęśliwych mieszkańców pobratymczego grodu.

Myśl tej szlachetnej, publikacji, powzięta na posiedzeniu „Koła“ z 26. listopada r. z. doprowadzoną została do skutku z rzadką dokładnością w ciągu sześciu tygodni, a to dzięki energji wybranej komisji redakcyjnej, a głównie sekretarza „Koła“ p. Władysława Bełzy.

Album zawiera 33 prace członków „Koła“, znanych rozgłośnie w świecie naukowym i literackim autorów; a że każda z prac tych, zanim przyjętą została, uległa surowym sądom komisji redakcyjnej, więc rzeczywiście Album dla Zagrzebia jest zbiorem utworów mających prawdziwą wartość naukową albo literacką, co się nie zawsze przytrafia podobnym publikacjom.

Szczupłe ramy naszego pisma, nie pozwalają na ocenę każdego utworu po szczególe, więc powiemy tylko, że wszystkie są zajmujące i pożyteczne, a dla zaspokojenia ciekawości czytelników, wymieniamy ich w porządku, w jakim się znajdują w albumie.

Dr. Ksawery Liske, znakomity badacz historji, profesor Uniwersytetu lwowskiego, dał wdzięczną i zajmującą sylwetkę oryginalnej postaci Imć Pana Mikołaja z Popielowa, szlachcica pełnego fantazji z XV wieku.

Bawiący we Lwowie szan. redaktor Gazety Polskiej w Chicago, Juljan Horain, złożył Zagrzebianom w darze powiastkę „Rażony piorunem.“

Dr. Juljan Ochorowicz, doc. Uniwersytetu lwowskiego, podał pod szatą humoreski, obraz swarów naukowych o najważniejszą kwestję żywota — o istotę bytu.

Czcigodny Kraszewski, ofiarował wydawnictwu „Urywki,“ kilka pięknych myśli, w piękną, poetyczną formę ujętych.

Znakomity badacz polskiego piśmiennictwa dr. Antoni Małecki, dał ciekawą wzmiankę o Filomatach w Wilnie, w latach 1805—1808.

Sympatyczny autor „Zwierciadła głupstwa“ Kazimierz Chłędowski napisał wykwintny żarcik o Żydzie wiecznym tułaczu i dziennikarstwie.

Ekonomista, dr. Alfred Zgórski, dał dosadnie skreślony szkic p. t. Nędza najobfitszem źródłem dochodu.

Józef Tretiak, znany krytyk, i poeta, w wyczerpującym i pełnym treści artykule, przedstawił „Nowe hasła“ dzisiejszej epoki.

P. Mikołaj Bołoz Antoniewicz, zamieścił w Albumie poemacik p. t. „Mój kwiatek.“

Dyrektor Zakładu im. Ossolińskich, dr. Wojciech Kętrzyński, ofiarował notatkę p. t. „Czortowiec a Hartowiec.“

Pedagog-literat prof. Romuald Starkel, napisał piękną i dowcipną humoreskę „Samowar“.

P. Józef Greliński, dał sonet i bajkę.

Historyk p. Antoni Prochazka, opowiedział zajmujący fakt o „wyzwaniu na pojedynek w XV wieku.“

P. Józef Kleczyński napisał artykuł p. t. „Znaczenie ludności dla państwa“.

Znany historyk p. Klemens Kantecki, skreślił portrecik filozofki polskiej, pani starościny Rawskiej, rozwódki po staroście Roztworowskim.

M. Rodoć dał satyrę społeczną p. t. „Bravissimo.“

P. Władysław Kozłowski, znany pracownik na polu filozoficznem, dał nader zajmującą pracę o temperamentach.

Jan Aleks. hr. Fredro, zamieścił w Albumie satyryczny obrazek „Szachy.“

Publicysta i statystyk p. Teofil Merunowicz, w „Aforyzmach dziennikarskich“, podał swój pogląd na znaczenie prasy.

Znakomity nasz chemik prof. dr. Bronisław Radziszewski, ofiarował dla albumu rzecz p. t. „Czego chemji potrzeba“.

Znany pedagog, inspektor szkół, p. Bolesław Baranowski, dał pracę p. t. „Etnograficzne i językowe stanowisko Kroatów“.

Poseł dr. Bernard Goldman, skreślił rzecz o „Kapitale akcyjnym wiedeńskich instytucyj finansowych.“

Ks. dr. Jan Siemiński, w artykule: „Cześć cudzoziemców dla Mickiewicza“ podał kilka ciekawych danych.

Prof. uniwersytetu lwowskiego dr. Gustaw Roszkowski dał fragment z prawa międzynarodowego „O projektach kodyfikacji prawa wojny“.

P. Zygmunt Sawczyński ofiarował rozprawę p. t. „Czego w naszych czasach żądają od szkoły ludowej i jej nauczycieli“.

Znany poeta i pisarz dramatyczny p. Aureli Urbański dał fantazję karnawałową p. t. „Arlekin“.

Dyrektor szkoły leśnej, p. Henryk Strzelecki, przemówił kilka słów w obronie lasów.

Prof. Uniwersytetu, p. Ludwik Ćwikliński, dał ustęp p. t. „Attalidzi i literaci w Pergamon“.

Znany nasz humorysta p. Włodzimierz Zagórski, zamieścił w albumie spory urywek z lirycznego poematu „Król Salomon“.

Znakomity ekonomista Leon Biliński, dał

rzecz „O trzęsieniu ziemi w charakterze konjunktury gospodarczej“.

Ulubiony autor „Kłopotów starego komendanta“, Albert Wilczyński, ofiarował śliczną jak zwykle humoreskę p. t. „Zbrodnia Urzędowa“.

Kustosz muzeum narod. im. Ossolińskich, p. Edward Pawłowicz, dał opowiadanie p. t. „Imieniny Zana“, jedną z najpiękniejszych prac w albumie.

Nakoniec, sekretarz „Koła“, p. Władysław Bełza, zamieścił w albumie urywek p. t. „W królestwie ruin“, w którym przypomina znaną i sympatyczną postać Machnickiego „Króla zamczyska“ z poematu Goszczyńskiego.

Z powyższego szeregu nazwisk, niezaprzeczona wartość „Albumu dla Zagrzebia“ sama się przedstawia, a że przytem powierzchowność książki jest elegancka, a cena przystępną, więc niepozostaje nam, jak album jak najprędzej rozkupić, a to tem bardziej, że warszawska publiczność publika cię tę niezmiernie sympatycznie przyjęła— i wkrótce egzemplarzy zabraknąć może.

B.

Dzisiejsze gospodarstwo wiejskie.

W jednym z numerów *Gazety rolniczej* znajdujemy pod rubryką „głosy z praktyki gospodarskiej“ nader cenne uwagi.

Wyszły one z pod pióra znakomitego ornitologa Kazimierza hr. Wodzickiego z Olejowa. Jest w uwagach tych prawdy tyle i to tak rozumnie, szczerze, uczciwie powiedzianej, iż nie możemy się wstrzymać od ich powtórzenia.

Oto one:

„Dziwne u nas pojawiają się sprzeczności w praktyce gospodarskiej...

Albo zarzucamy bezwzględnie wszelką teorję a trzymając się ślepo rutyny, wytwarzamy sobie własne, nieodpowiadające zmiennym stosunkom, nie postępujące z czasem prawidła; albo zbyt skorzy w uznawaniu zasad postępowych, zkądby one się nie nawinęły—zrzekamy się wszelkiej własnej myśli i samodzielnego poglądu, chwytamy się chociażby najbardziej awanturniczych recept teoretycznych bez względu na ich praktyczną możność zastosowania.

W jednym i drugim wypadku tenże sam grzech popełniamy, to jest *patrzymy — nie widząc*, a *działamy nie zdając sobie rozumowo sprawy z czynności.*

Jakże bo korzystamy np. z teorji?

Wprawdzie z każdym rokiem dokładniej dowiadujemy się o ilości kwasu fosfornego i azotu, jaka się znajdować powinna w nawozie, coraz to ściślej badamy własności i składniki roli.

Poznajemy warunki życia roślinnego, a zdawałoby się, że jak drogocenni kucharze z potrawami, tak my już z ziemią i roślinami powinniśmy umieć postępować; znamy koszta produkcji centnara nawozu, wykazujemy najdokładniej ile kosztował bydlęcy, koński i owczy.

Rachunkowość gospodarska dosięgła owego problematycznego stopnia doskonałości, że wiemy ile jaka, nawet najdrobniejsza gałąź produkcji kosztowała, a ile przyniosła dochodu; nie lękamy się kosztów utrzymania kasjerów, kontrolorów, a nawet niekiedy osobnych buchalterów.

Młócimy parą zboże, aby je najspieszniej spieniężyć, marnując podstawę chowu inwentarza.

Silimy się na coraz obszerniejszą uprawę rzepaku, tak zawodnej w naszym klimacie rośliny, która przy nieurodzaju szczerbę nam głęboką wygryza w dochodach.

Krocie wydajemy na pożyteczne narzędzia i machiny, lecz również bez dostatecznego zbadania; krocie marnujemy na niepożyteczne rupiecie, zajmujące strychy naszych budynków przeznaczonych na paszę.

Za przykładem zamożnych i praktycznych gospodarzy na Zachodzie, przedsiębierzemy kosztowne próby, nie zawsze zadawalniające, bo nie przeprowadzone umiejętnie, a ze świadomością: czego się chcemy właściwie dowiedzieć.

Z książek, wierząc *in verba magistri*, tworzymy tkaniny systematów nie zawsze zgodnych z naszym kapryśnym klimatem, z naszymi, niestety, nie zawsze odpowiednimi pomocnikami.

Staramy się stworzyć i w życie wprowadzić postępowe gospodarstwa, przypuszczam z rzeczywistą wiedzą i świadomością rzeczy, a wykonanie powierzamy nieudolnym, a częstokroć i niechętnym umysłom.

Pniemy się do wysokości angielsko-belgijskich gospodarstw, bez stosownych sił i zasobów, nie licząc się pierwej z kosztami transportu, i innemi warunkami ekonomicznemi, wpływającemi na otrzymany dochód.

W chowie bydła na podstawie zawsze postępu tegoczesnego, błądzimy i gramy w ciuciubabkę, co kto złapie; do tej chwili nie wskazaliśmy rasy zastosowanej do miejscowości, ani też ras do krzyżowania.

Jak zawsze skorzy do destrukcji, zaniedbaliśmy nasze bydło, a nieudolni do konstrukcji, nie wprowadziliśmy chowu bydła znaczny dochód dającego.

Jedyna podstawa przyszłości naszych gospodarstw jest oparta od 20-stu lat na kosztownych próbach, bez podania nam praktycznych rad i odpowiednich podstaw...

I tak stopniowo przy postępowem gospodarstwie dochodzimy do upadku, w części do wywłaszczenia!

Snopek co trzeci rok, więcej kosztuje jak przynosi, gorzelnie pod ciężarem opodatkowania upadają i upaść muszą: przemysł bez odpowiedniej opieki, gnieciony zagranicznym, dźwignąć się nie może; wełna z każdym rokiem słabiej walczy z konkurencją zaatlantycką i znaczna część gospodarzy zarzuca tę tak korzystną u nas produkcję, kierowaną bez zamiłowania i znajomości; w końcu nasze gospodarstwa są podtrzymywane nieodpowiednimi urzędnikami, a leniwymi i nierzetelnymi pomocnikami w robotach.

Cóż więc dziwnego, że żydzi nie znający Thaerów, Oczapowskich, Chłapowskich, Settegastów, wypierają nas bez przerwy z ziemi ojców naszych, jedynie przy pomocy oszczędności, praktyczności, znajomości ludu, stosunków i warunków ekonomicznych, a przedewszystkiem korzystając z dzielnej broni jaką im daje skrzętność w oglądaniu się na okół siebie, ostrożność w dotykaniu rzeczy, których nie rozumieją dokładnie, pilność w uczeniu się tego, co im wiedzieć potrzeba.

Badam ten proceder, nieprzerwany od lat 20-stu i widzę przyszłość naszą w obrazie Indjanów wobec kolonistów białych, których losów nie unikniemy, jeżeli naszego nam przekazanego posłannictwa lepiej nie pojmiemy i wykonywać nie będziemy.

Nie jeden z czytelników uczęstuje mnie nazwą wstecznika, odmówi wiedzy i nauki, uzna mnie za zacofanego staropolskiego hreczkosieja...

W części by mi krzywdę wyrządził, gdy według mego głębokiego przekonania, wiedza i nauka jest tak potrzebna w naszym wieku dla właścicieli i dzierżawców, jako słońce dla rośliności, bez którego ginie; lecz ta nauka musi być pojętą, należycie w praktyczne ramy ujętą i podaną w sposób przystępny dla wszystkich wykształconych rolników, aby z niej pożytek czerpać mogli, a przedewszystkiem wolną od recept, któreby forytowały bezmyślność i kusiły się oszczędzić rolnikowi pracy umysłowej a krytycznego ocenienia stosunków, wśród których pracuje.

Nauka tylko wtedy się przyda, gdy jest samodzielnie przetrawiona, gdy stała się istotną własnością tego, co ją stosować zamierza...

Ongi, za czasów naszych antenatów, gdy młodzieniec tępo się uczył i żółwim krokiem w szkołach postępował, uznano go za uzdolnionego do prowadzenia gospodarstwa.

I dziś niestety, gnuśne, lekkomyślne i nieudolne istoty przeznaczają do tego zawodu!

W kraju naszym, niemal wyłącznie rolniczym, rodzice wykształcając synów na doktorów praw i filozofji, po niejakim czasie oddają im majątki do administrowania.

Przekonanie o potrzebie wiedzy i praktycznej nauce wcale się u nas nie rozpowszechnia, zdawałoby się, że jak artysta, rodzi się rolnik i administrator; więcej powiem, mało kto uważa siebie za majstra, a majątek swój za warsztat, którego opuścić nie można, który wymaga poświęcenia i nieustającej pilności; gospodarstwo jest to specjalność, wyłącznie zatrudnienie nie znoszące współzawodnictwa, zabierającego wiele czasu.

Wiemy co za przyszłość czeka majstra powierzającego swój warsztat najzdolniejszemu nawet czeladnikowi...

To samo stosuję do majątku wyłącznie powierzonego rządcy.

Tak jak młodzież po ukończeniu szkół dopiero przeżuwa, wyrabia i przyswaja sobie na własną korzyść nabytą wiedzę w późniejszem życiu; tak samo kształcący się na rolnika, w połączeniu z praktycznem doświadczeniem, stopniowo przyswajać sobie musi wiedzę, czerpiąc z niej pożytek i zdobywając własny kierunek, nie dozwalający kosztownego błądzenia.

My chcemy trudnić się naukami, używać rozkoszy podróży po cywilizowanych krajach, oddawać się życiu publicznemu, równocześnie gospodarować i administrować!

Wiele jest przyczyn upadku gospodarstw i wywłaszczeń, lecz według mego przekonania, najgłówniejszej szukać trzeba w nieznajomości tego zawodu i braku przygotowania się do niego.

W stosunku do wartości pism rolniczych jest liczba prenumeratorów za mała i chęć czytania za słaba; one w kraju rolniczym potrzebującym ratunku być muszą skarbnicą i *vade mecum*, w nich rolnik szukać powinien rady, pomocy, pociechy, ratunku i kierunku praktycznego.

Treść ściśle naukowa i teoretyczna, dyskusja na podstawie teoryj niemających jeszcze prawa obywatelstwa, podawane innowacje bez

sprawdzenia i zaświadczenia na naszej ziemi: oto co w części zniechęciło czytelników.

Bezsprzecznie nabywać musimy naukę, aby sprostać postępowi innych krajów, aby przykładem i nabytą wiedzą kształcić pomocników, bez których się obejść nie możemy, lecz to czynić musimy stopniowo, ostrożnie i bez kosztów naruszających obrót naszego warsztatu.

Nie chciałbym przecie być propagatorem drugiej ostateczności, to jest pogardy dla teorji w praktyce; chciałbym tylko ostrzedz przed fałszywą teorją, wyłudzającą krwawo zapracowany grosz bezpożytecznie.

Każdy władający piórem posiada pewną ilość miłości własnej; cóż więc dziwnego, że i ja, jako drążkowy literat, może jej hołduję, twierdząc, iż nabyte długoletnie doświadczenie jest najkosztowniejszą szkołą i że dla tej to przyczyny lepiej dobrze naśladować, jak wynajdywać doskonale.

Pierwsze zadanie nie trudne do przeprowadzenia, do drugiego zaś potrzeba twórczości genjalnej...

Niechaj mi zresztą wolno będzie nadmienić, że w życiu nigdy nie spekulowałem, nie wdawałem się w żadne kosztowne przedsiębiorstwa, ojcowizny nie straciłem, lecz ją podwoiłem przy łasce Bożej, pomimo licznej rodziny i kosztownego życia; utrzymywałem się przez lat 40 z roli i z żywego inwentarza.

Obrót mego warsztatu nie gorszy i nie leniwszy jak dawniej, lecz produkcja coraz droższa i pomimo potęgowanych dochodów. pochłaniają je nad miarę rozchody; więc dziś niebezpieczeństwo większe...

Dla tych przyczyn wymaga gospodarstwo wielkiej ostrożności w nakładach, praktycznej oszczędności i ścisłej, oraz dokładnej znajomości swego warsztatu.

Kazimierz hr. Wodzicki.

TEATR.

Z ubiegłego tygodnia mamy do zanotowania kilka bądźto całkiem nowych, bądźto po dłuższej pauzie wznowionych sztuk.

Pani Aszpergerowa wybrała na swój benefis piękny dramat A. Lindnera *Noc św. Bartłomieja*, grając w nim demoniczną rolę Katarzyny de Medicis. Nie potrzebujemy podobno dodawać, że beneficjantka wywiązała się znakomicie z tak trudnego zadania. Obok niej zachwycał publiczność p. Ładnowski w charakterystycznej roli słabego, chwilowym porywom ulegającego Karola IX; Henryka, króla Nawarry, grał bardzo dobrze p. Woleński. Odegranie drugiej większej roli kobiecej, tj. Małgorzaty de Valois, powierzono tym razem pani Woleńskiej. Nie przeczymy, że artystka ta grała bardzo starannie, że liryczną stronę swej roli oddała ku powszechnemu zadowoleniu; tam jednakże, gdzie wypadało rozwinąć tragiczną potęgę głosu i ruchów, nie dopisywały jej siły. Nie jest to bynajmniej winą tej utalentowanej artystki, a tylko ujemną stroną jej fizycznego, takim rolom niedorastającego uposażenia. Głos jej dość słaby a pozbawiony tonów średnich, i drobna postawa były zaporą do wywołania tego efektu, jakiby była rzeczona artystka niezawodnie w innych osiągnęła warunkach. Każdy zrozumie, że przytoczywszy ujemne strony tej kreacji, nie tylko nie myśleliśmy czynić artystce jakiegokolwiek zarzutu, ale przeciwnie, przez zestawienie nastroju roli ze skalą sił artystki, skonstatować, że w zakresie fizycznej możności grała ona bardzo dobrze.

Wytknąć natomiast musimy co do całości przedstawienia, pewne rozprężenie w ensemblach, drobne anachronizmy i brak tempa w wykonaniu scenicznych akcesorjów, co w najtragiczniejszych chwilach komiczne czyniło wrażenie.

Dnia 22. b. m. przedstawiono po raz pierwszy operę komiczną Offenbacha: *Pani Favart*. Wesołe, żywo rozgrywające się, pełne prawdziwie komicznych a przyzwoitych sytuacyj libretto wyszło z pod pióra pp. Chivot i Duru, spółki, która librettem do najnowszej a bardzo dziś wziętej w Paryżu opery komicznej „La Mascotte“ zyskała sobie już uznanie w tym kierunku. Muzyki, wybornie tekst ilustrującej, słucha się przyjemnie i z zajęciem. Główne role małżonków Favart, artystów dramatycznych, ratujących się coraz nowymi pomysłami przed grożącem im więzieniem, bardzo dobrze odegrali i odspiewali p. Zboiński i pni Skalska; drobniejszą rolę Zuzanny wykonała sympatycznie pna Bocskaj, a p. Skalski jako markiz de Ponsable wywołał jak zwykle homeryczny śmiech wyborną charakterystyką, wesołą grą i oryginalnym swym głosem. P. Alma mniej nas tym razem zadowolnił. Wystawa sztuki była bardzo piękna i rzecz wogóle podobała się, jak na to istotnie zasługuje.

Nareszcie 24. b. m. ujrzeliśmy po raz pierwszy oryginalną komedję dwuaktową, nieznanego autora, albo jak wieść głosi — autorki, p. n. *Polak kiedy głodny, to zły*. Tytuł bardzo ponętny, ale sztuka od siedmiu boleści. Nie widać tam nie tylko najmniejszej intrygi, ale nawet ładu scenicznego, każda z osób rozgaduje się na własną rękę o rzeczach do rzeczy nie należących, jeśli autor nie zrobił tylko z nich, jak z Milczyńskiego, człowieka prawdopodobnie głuchoniemego, który kręcąc się prawie ustawicznie przez dwa akty po scenie, ani jednem słowem się nie odzywa. Zamierzony tu efekt komiczny spalił na panewce najzupełniej. Jedna lepsza scenka między panną Solską a Marnickim, wcale jeszcze nie uratuje pod każdym względem chybionej całości. Nie uratuje jej także pni Aszpergerowa, chociażby ją syzyficznymi wysiłkami podeprzeć usiłowała, nie uratuje p. Zamojski, chociażby jeszcze smaczniej zajadał baraninę na scenie, nie uratuje p. Sachorowski, chociażby mu autor cudownem potarciem palca język rozwiązał, ani wszyscy inni chociażby usiłowali grać jak najlepiej.

Suchotnicze to dziecię Muzy obchodziło prawdopodobnie w dzień swych urodzin bardzo tragiczny bo równoczesny zgon i exportację do biblioteki teatralnej. *Sit ei bibliotheca theatralis levis!*

R. St.

KANAREK.

(Niby nowella).

Bohater nasz mieszkał w wygodnej, choć wcale nie wspaniałej klatce. Dzięki ślicznej Frani miał co dnia świeżą wodę, siemienia podostatkiem, zawsze kawałek cukru a latem listek miękkiej sałatki. Wywdzięczał się też jak umiał ptaszyna, pracując gardziołkiem od świtu do zmroku.

A śpiewał cudnie: istny słowik! Frania słuchała i raźniej szła jej robota; kanarek zagłuszał jednostajny sztukot maszyny. Nie była samą przynajmniej..

Wprawdzie niekiedy, po skończonej w fabryce pracy, przychodził nieraz zakochany w dziewczynie na zabój Antek. Szli razem na przechadzkę albo w domu snuli złote nici marzeń. Cóż, kiedy Frania nie kochała Antka naprawdę, nie kochała, choć mówiono, że był ładnym i poczciwym chłopcem, choć dziesięć innych za nim przepadało.

Dlaczego, sama nie wiedziała.

Nie wiedziała również zkąd jej się do główki różne nieraz cisnęły myśli, dlaczego ona, co nigdy lepszego nie zaznała, ze wszystkiego co ją otaczało, szydziła prawie. Nieraz żałowała Antka, obiecywała sobie być lepszą. Gdzie tam, gdy przyszedł, spotykał go ten sam chłód, gorzej, te same przymówki.

— Rzemieślnik — coś jej szeptało — co za los, co za przyszłość czeka żonę rzemieślnika!

A potem Antek jakiś był nie taki, jak sobie wymarzyła Frania; takie miał namulone ręce!

Wczoraj spotkała dawną od serca przyjaciółkę, szwaczkę jak ona.

Teofilka zaprosiła ją do siebie.

Boże, jakże cudnie ona mieszka, jakie ma meble atłasowe, dywany, firanki, jakie stroje, a nadewszystko jaki paltocik aksamitny. — długi do ziemi prawie — z sobolem!

A jakie towarzystwo tam bywa! Wieczorem przyszedł na herbatę pan Karol, chłopiec śliczny, jak malowany. Przyszedł przyjaciel jego, jeszcze piękniejszy, woniejący zdaleka — słowem szyk.

Ach, jacyż ci panowie grzeczni, zwłaszcza drugi, ile on komplementów Frani do uszka nagadał, parę razy nawet ścisnął ją pod stołem za rączkę.

Co za różnica od niezdarnego Antka!

W tej chwili wydał się on jej wstrętnym prawie. Wszystko to rozpamiętywała sobie Frania zapatrzona w lusterko. Lusterko mówiło jej wyraźnie, że i ona ma ładne czarne oczy, świeży buziak a choć trochę za wielkie usteczka, ale za to ząbki jak perły, czem Teofilka pochwalić się nie mogła.

Pachnący młodzieniec (pewnie hrabia jaki), karety, dywany i paltocik z sobolem majaczyły po głowie dziewczyny, gdy drzwi izdebki otwarły się: stała w nich Teofilka.

Przyjaciółki rzuciły się w objęcia: Teofilka serdeczną była jak nigdy. Rozmawiały długo w noc. Gdy Frania została samą, wsparła główkę na ręku i zadumała się...

Zadumała się tak, że zbudził ją dopiero świergot kanarka, witającego pierwsze promyki słońca; ciężyła niewyspanej głowa dnia tego, a robota szła dziwnie jakoś oporem.

Antka, który o zwykłej godzinie nadszedł, przyjęła gorzej jeszcze niż zazwyczaj.

Odwiedziny Teofilki stawały się coraz częstszemi, zawsze prawie zabierała Franię do siebie, na herbatę.

Zawsze też znajdował się tam przyjaciel Teofilki i pachnący przyjaciel przyjaciela, coraz więcej nadskakujący, coraz silniej — powiedzmy prawdę — zakochany we Frani.

O jakież były miłe wieczorki spędzane w przyćmionym na poły różową lampą buduarze, zasłanym miękkim kobiercem, wystrojonym i wyzłoconym cudnie!

Jakże ohydną wydawała się po powrocie izdebka na Piwnej, jak nędznie wyglądały najlepsze nawet Frani sukienki!

Czemu ona nie miałaby mieć takich pięknych rzeczy, czemu ona, młoda i ładna, ma pokutować w swojej nędznej klatce?

Myśl ta nie dała Frani spokoju, coś dziwnego się z nią dziać zaczęło. Izdekba, mebelki jej, wszystko ją gniewało.

Gniewał ją nawet świergot dawnego ulubieńca, którego, gdy zawodzić poczynał, nakrywała czemprędzej chustką „aby się nie darł.“

Zdziwione ptaszę milkło przekrzywiając główkę, niby pytając co się jego pani stało.

Antek, przyjmowany cierpko, coraz rzadziej przychodził; chwilami żałowała go Frania, chwilami gniewał ją i strachem jakimś przejmował.

Bezwiedna walka wewnętrzna mąciła w głowie dziewczynie, która wolno traciła resztę instynktu zachowawczego...

Jednego wieczoru przyszedł Antek: nie otworzono mu; dotknięty do żywego przysiągł, że nie powróci.

Nie dotrzymał jednak, po kilku dniach mimowoli zabłądził na Piwną ulicę; bezwiednie prawie wszedł na górę.

Drzwi stały otworem; na środku izdebki rozprawiał stróż ze swoją połowicą.

— Panna Franciszka od tygodnia nie wraca — rzekli do pytającego błąkającemi oczyma Antka — ósmy minął, gospodarz kazał powynosić te graty na strych. Karta się wywiesi jutro.

Antek osłupiałym wzrokiem powiódł dokoła. Gruba warstwa kurzu pokrywała maszynę do szycia, stół i komodę — jedyne cenniejsze sprzęty. Zeschły bukiecik stał na oknie, w którem wisiała klatka; pusto w niej było: ani siemienia, ani cukru, ani listka sałaty.

Kanarek leżał bez życia — skonał biedatwo z głodu.

— Biedna ptaszyna! — wyjąknął Antek i stoczył się nieprzytomny ze schodów...

A. Trylski.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literackie, artystyczne i naukowe.

*** Znakomite odczyty Włodzimierza Spasowicza o Wincentym Polu i Władysławie Syrokomli, wyszły w taniem wydaniu Bibljoteki Mrówki, jako tomiki 106, 107 i 108 tejże Bibljoteki.

*** W Poznaniu, wyszło ciekawe dzieło p. t. „Rys religijnego rozwoju ducha ludzkiego.“ O pracy tej pomówimy wkrótce obszerniej.

*** P. Ludwik de Laveaux wydał w oddzielnej broszurze szkic historyczny p. t. „Kniaź Michał Gliński.“

P. Jan Czarnecki wydał we Lwowie książkę p. t. „Rys dziejów starożytnych.“ Jest to pierwszy zeszyt obszerniejszej pracy, obejmujący Wstęp i Czasy przedhistoryczne. Rzecz napisana zwięźle, jasno i zajmująco.

*** W Samborze wyszedł z druku zeszyt I „Czytelni dla ludu i młodzieży,“ która ma zawrzeć dwanaście opowiadań z dziejów Polski, Litwy i Rusi. Zeszyt pierwszy, zawiera opowiadanie p. t. Polska i Ruś aż do śmierci Bolesława Krzywoustego.

*** Nakładem księgarni J. K. Żupańskiego w Poznaniu, wyszedł z druku w oddzielnej książce poczet stu felietonów, umieszczonych w Kurjerze Poznańskim w latach 1878 1880 p. t.: I z blizka i z daleka“, które w swoim czasie wielkie budziły zajęcie.

*** P. Bolesław Limanowski wydał w Genewie broszurę p. t. „Patrjotyzm i Socjalizm“.

*** „Gwałtowna miłość,“ fraszka scenniczna w jedym akcie, napisana przez P. Wojciecha Simona, wyszła z drukn w Poznaniu.

*** Wyszedł z pod prasy zeszyt XIIIty, t. j. 1szy tomu IIgo „Słownika geograficznego polskiego,“ obejmujący w porządku alfabetycznym wyrazy od Derenek do Dobrowola.

*** Zakład narodowy imienia Ossolińskich we Lwowie, ogłosił drukiem sprawozdanie z czynności swoich za rok 1880.

*** Ex-cesarzowa Eugenja przygotowywa dwie książki.

W jednej opisze żywot i skon syna, w drugiej panowanie męża, z odpowiedniemi komentarzami.

*** Rada kantonu berneńskiego postanowiła, na wniosek departamentu oświaty, iż na przyszłość tylko alfabet łaciński będzie używany w ogłoszeniach urzędowych i przy uczeniu pisma we wszystkich szkołach.

*** Komitet Warszawskiego Towarzystwa zachęty sztuk pięknych przyznał następujące nagrody za ogłoszone przez się prace konkursowe.

Nagrody w gotówce po rs. 200: P. Mireckiemu Kazimierzowi za obraz olejny przedstawiający „Ostatnie chwile Długosza“; p. Adamczewskiemu Stanisławowi, budowniczemu, za projekt budowli do urządzenia cmentarza na sposób „Campo santo,“ wreszcie p. Marczewskiemu Hippolitowi za statuetkę przedstawiającą ks. Kordeckiego.

Nadto zaszczytną wzmianką odznaczono p. Karola Klossa za wykonanie statuetki obrońcy Częstochowy.

*** Wielka opera w Paryżu wydała w 1880 roku 4,079.000 franków, i tyleż prawie wykazała dochodu.

Między wydatkami figurują: 240,000 fr. za gaz, 40.000 za utrzymanie czystości, 1,200.000 za płace, 240.000 za wystawę „Aidy“, 80.000 fr. za wystawę baletu „Korrigane.“

Teatr „Chatelet“ wyłożył na wystawę widowiska „Michel Strogow“ takie olbrzymie sumy, iż pomimo dochodu wynoszącego codziennie, od 15. listopada, około 12.000 franków, dyrektorom pozostało czystego zysku tylko cokolwiek nad 1.200 fr.

*** *Widome drobiny.* Z doświadczenia wiemy, że każde ciało jest podzielnem na mniejsze części, te zaś na cząsteczki i t. d.; biorąc n. p. kawałek cukru możemy go tłuczeniem rozdrobić na mączkę. Ziarnko takiej mączki badane pod mikroskopem przedstawia się jako wielka bryła, którąby przy doskonalszych środkach mechanicznych jeszcze bardziej rozdzielić można. Postępując w rozdrabnianiu dalej, doszlibyśmy do tak małych cząsteczek, któreby się już więcej, przy zachowaniu swego istnienia, podzielić nie dały. Cząsteczki takie zowiemy niedziałkami.

Podług nowoczesnej fizyki, wszystkie ciała składają się z grup takich niedziałek; grupy te zwane drobinami, znajdują się w ciągłym ruchu, będącym przyczyną ciepła tych ciał i innych zjawisk molekularnych. Drobiny mogą tworzyć znowu pewne grupy, które samodzielnym ruchem opatrzone, podobnie zachowywać się będą jak ich składniki.

Teorja ta zwana atomistyczną, tłumacząca wewnętrzne ukształtowanie materji, oparta dotychczas na przypuszczeniu, zyskała teraz najzupełniejsze potwierdzenie za pomocą bezpośredniego spostrzeżenia.

Pan Bodaszewski, asystent tutejszej szkoły politechnicznej, robiąc niektóre doświadczenia nad ciałami w stanie gazowym, (mianowicie nad parami i dymami) spostrzegł pod mikroskopem przy pewnem oświetleniu, cząsteczki tych ciał znajdujące się w samodzielnym ruchu postępowym i poniekąd drgającym. Kształt tych cząsteczek jest kulisty a średnica ich w naturalnej wielkości wynosi w przybliżeniu dwie dziesięciotysiączne milimetra.

Pan B. przypuszcza, że są to prawdopodobnie grupy drobin obdarzone ruchem i studjuje to zjawisko dalej, szczególnie przy tworzeniu się kryształów.

Społeczne i ekonomiczne.

*** Powtarzamy komunikat następujący:

Szanowny Redaktorze!

Od pani Anny Szuldrzyńskiej, która pierwsza wywołała i obudziła myśl spełnienia obowiązku względem ś. p. z Tańskich Hoffmanowej, restauracją pomnika jej — odbieramy na nowo przesłaną ofiarę na ten cel, marek trzysta.

Mieliśmy poprzednio złożonych u nas 350 franków, summa więc zebrana jest niemal dostateczną na podtrzymanie pomnika, którym natychmiast zająć się będzie obowiązkiem naszym.

Wzywamy więc osoby i pisma na ten cel już mające fundusze, aby je z naszym połączyły, co dozwoli gruntowną i piękną dokonać resturację, jakiej pomnik wymaga, na jaką pamięć ś. p. Tańskiej zasługuje.

J. I. Kraszewski.

*** Pisma Warszawskie podają, iż wakujące w królestwie kongresowem trzy katedry biskupie, zająć mają ks. Antoni Sotkiewicz, administrator archidjecezji warszawskiej; ks. Henryk Kossowski, b. rektor akademji duchowej, oraz ks. Justyn Borzewski surogat konsystorza

*** Rząd Rzeczypospolitej francuskiej obniżył podatek od cukru, tak, że cena funta cukru w Paryżu z 18 sous, spadła na 12. Również obniżoną została akcyza od wina o 5 centów na litrze, podatek zaś od zapałek zostaje zupełnie zniesiony.

*** Peszteńska dyrekcja pocztowa postanowiła z okoliczności ostatnich napadów na listonoszów pocztowych, uzbroić tychże w rewolwery kieszonkowe.

*** W Cieplicach, w pobliżu miasta odkryto nowe źródło gorące, mające 38° ciepła; wiadomość tę ludność przyjęła z wielką radością.

*** W Królestwie kongreqowem, w mieście Siedlcach, jeden z tamecznych urzędników p. J. rozbiwszy siekierą kawał kamiennego węgla, który był tak twardy, że go służąca rozłupać nie mogła, znalazł w środku węgla brylant, wielkości kaczego jajka. P. J. szczęśliwym trafem przeciął go tylko na dwoje a za każdą z tych połówek dają mu po 5.000 rubli.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.